

To był specyficzny przypadek, kruczek prawny. Sam nie wiem, co bym na Twoim miejscu zrobił. Jednak większość tych tzw. przekupstw jest dość jednoznaczna. Robi się szum dla szumu, a działalność ekologów ostatecznie niewiele się różni od wymuszania haraczu. Podejrzewam, że przy odrobinie samozaparcia można z tego uczynić niezłe źródło dochodu. Na szczęście to margines, ale taki, który już zdążył doprać ruchowi ekologicznemu gębę i jeszcze długo trzeba będzie odkręcać. Wracając do początku naszej rozmowy, poruszając tę problematykę doskonale widać, co się dzieje, kiedy przyroda przestaje być priorytetem. Wszystkie te "szemrane historie" miały miejsce w mieście, gdzie ekolodzy zajmowali się właściwie sprawami społecznymi, a przyrodą przy okazji. Tak jak Zieloni 2004, gdzie przyroda to dopiero 3 punkt ich manifestu. Czy nie mam racji?

Tylko że priorytetu nie można nikomu narzucić. Jeśli mamy silne związki z przyrodą, to nie musimy się o nic martwić, także o nią samą. Będziemy wiedzieli, co robić. To nie przyroda, lecz człowiek ma problem ze sobą i żeby to zagłuszyć, wykrzykuje różne racje, czasami ekologiczne. Umysły się gotują, a za oknem świeci słońce lub pada deszcz. Na szczęście zawsze można jeszcze udać się do lasu albo na mokradła i tam znaleźć odpowiedzi na wszystkie pytania.

Oczywiście, że priorytetu nie można narzucić, ale zawsze można kogoś zabrać na spacer do lasu czy nad jezioro i poczuć co jest naprawdę ważne. Tak się składa, że mieszkam w regionie turystycznym - ty również - gdzie doskonale widać, że nawet najbardziej ubóstwiany wynalazek cywilizacji technicznej, jakim jest samochód, ostatecznie służy do tego, aby wyrwać się z miasta na łono przyrody. A czy nie mądrzej byłoby, zamiast jechać do niej setki kilometrów na kilka godzin lub dni sprawić, aby przyroda otaczała nas wszędzie. No, prawie wszędzie.

I tym optymistycznym akcentem...

Zakończymy

3 lutego 2004

1. Tradycja filozoficzna "od zawsze" wyróżniała "filozofię jako naukę" i "filozofię jako oświecenie". Pierwsze ujęcie uwypukla naukowy, teoretyczny, przedmiotowy i obiektywny charakter filozofii. Drugie natomiast podkreśla przemianę podmiotu poznającego pod wpływem refleksji filozoficznej, w nim właśnie mieści się - moim zdaniem - ekologia głęboka. Więcej dla zainteresowanych tym podziałem w: *Filozofia. Podstawowe pytania*, pod red. E. Martensa i H. Schnädelbacha, Wiedza Powszechna, Warszawa 1995, s. 52 i nn.
2. Jeśli uda mi się znaleźć trochę czasu postaram się w najbliższym wydaniu ZB zamieścić recenzję poświęconą tej pozycji M. Dziubek-Hovland, *Przyroda nie należy do człowieka. Sylwetka i ekofilozofia Arne Naessa na tle norweskiej filozofii ekologicznej*, PNRWI 2004.

kontakt: **A. Janusz Korbel** - Towarzystwo
Ochrony Krajobrazu, ajotka1@poczta.onet.pl,
<http://www.tok.most.org.pl>,
http://republika.pl/puszcza_bialowieska

Jaką frajdę miał Stwórca kiedy ciebie tworzył
Za tworzywo miał barwy za narzędzie pędzel
A było to dzieło przypadku
Bo Autor nie wiedział co z niego wyrośnie
Nie miał planu ani nie znał zamiaru
Nawet umiar nieco z rąk mu się wymykał
Jakby to wszystko wcześniej mu się śniło
Nie było to dzieło frasobliwe

Najpierw rozlał na płasko co było pod ręką
A trafił łokciem w kałamarz z zielenią
Palec w glinie umaczał a usta w winie
I zamysłił się co tu z czym do czego

Potem uniósł się z wiechciem zanurzonym w trawie
Nieśmiało dotknął warzywnej płaszczyzny
A potem raz po raz tam i nazad
Góra dół aż się pędzel pośliznął i upadł
I tak powstały dołki z ochrą błotnistą
Do których wnet spłynęły strugi malachitu
Nakrapiane perłami fioleto wonnego
W pierzu obłoków zmieszanych z ultramaryną

Tutaj mu się omsknęło tam mu się zapadło
I zaśliznęły dolinki w całym swoim krasie
Roztańczone skręcone i podskakujące
Jakby ich geometria wracała z wesela
A drzewa im klaskały oddechem welonów
Przeplukanych deszczówką osuszonych słońcem

Jeszcze raz pochylał się nad słoikiem wapna
Tu i tam ciut skalistej barwy naniósł końcem
Starej jak śpiące w Ziemi kości oceanu
Który przychodził odchodził i wracał
Aż wypity przez słońce stał się bielą

A nad tym wszystkim zaciekle błękitnym podziwem
W nieco jaśniejszych plamach wywabionych z niego
I dotyk po dotyku żdźbła skrzydełka płatki
Łodyżka po łodyżce listeczek nad listkiem
Wydobywał z ziemi unosił do nieba
Rozwijał i nasyczał wieszał i układał
Pędzel mknął i opadał po pagórkach temper
Aż do słodkawej chwili odpoczynku
Dla której między polnymi słupami
Namalował otwartą budkę z piwem

I tyknął złota z zielonego flakonu
I kichnął na to wszystko złotymi mniszkami
Tak gęsto aż się inne barwy nie zmieściły
Wystarczy niech to będzie wczesna pora roku
Później pozostałe wezwiemy do Jury
I obraz dokończymy i zawiesimy w Niebie

I poznawał sam siebie poprzez swoje dzieło
Które choć było trudem dawało Mu spokój
I twarzą radość od ucha do ucha
A dzień stworzenia Jury nazwał Niedziłą

A gdy już była Jura ogarnął się Stwórca
I wstąpił na rower bo nie posiadał skrzydeł
I śladami pędzla bujał się i hulał
W tańcu z grawitacją znajdując wytchnienie

Śpieszmy się chwalić Jurę nim stworzę człowieka
Który moje dzieło weźmie w posiadanie
Trzeba ją zapamiętać i schować w albumie

Bez strażników, mandatów i bez baloników
Bez drzwi do lasu, bramek i kłódek do jaskiń
Bez biletów, kasjerów i bez przewodników
Bez właścicieli, dzierżawców i bez bankomatów
Bez tabliczek na drzewach *private area*
Bez lodów na patyku i juraburgerów
Parasoli na niebie, plastikowych krzesel
Fajerwerków, głośników, straganów z gwiazdkami
Wyścigów na skuterach i skoków na gumie
Wypożyczalni rakiet, gabinetów strachu
Salonów gier, agencji i pługów na rurze
Bez hipoterapii i zdjęć na wielbłądzie
Bez hoteli, uzdrowisk i diabelskich młynów

Tam, chwilę przed stworzeniem antyświata
Zdążymy sklecić szalas z upadłych gałązek
Rozpalimy ognisko wiercąc dziurę w hubie
Zastawimy na łące stół z jagód i malin
A z krzemienych klejnotów wystrugamy sztućce
Za mną moje zastępy
Pokońmy się Jurze

kwiecień 2004

Gabi Szmielik-Mazur
PROSTA BABA SPOD KRAKOWA

JAK WĄSIDŁO WILCZYDŁOWAŁ



Wilk ma zaszczyt być symbolem ciemnej strony człowieka. Od zarania chrześcijaństwa utożsamiany jest z Antychrystem, które to wyróżnienie skazuje go na śmierć wiekiową, a jest ono efektem nietolerowanej przez ludzkość wilczej natury. Jako konkurent do koryta ze zwierzęciną, wilk zabija systemowo, podstępnie, szybko i w miarę humanitarnie, ale ta jego humanitarność świadczy o jego diabelskich sztuczkach, bo diabeł działa w białych rękawiczkach. Jako rywal był wilk niemiły ludzkości jeszcze przed chrztem, co zapisane jest tu i tam różnymi alfabetami i makabrycznymi komiksami.

Chyba tylko paleolityczny dziad, włóczący się po borach z worem na borówki i ślimaki oraz z krzemiennym widelcem na befsztyki, dojrzał w wilku brata i zaprosił go na resztki z ludzkiego stołu i przywiązał się do niego a wilk nie pozostawał mu dłużny. I tak zostało. Wtedy była między nimi równowaga sił i mogli sobie obaj pozwolić na poufałość. Mogła to być wynikająca z pokrewieństwa natur wzajemna terapia w ciepłku ogniska, bo cóż by teraz w moim domu robiły Zombie i Strzyga, wilczyce oswojone w paleolicie, a w epoce transplantacji i fuzji skrzyżowane ze szczurem? Gdy znikam a one zostają same na 12 piętrze betonowej wieży, wyją do Księżycyca, zawieszzonego na suficie ich wyobraźni.

Wilków uwijających się po Karpatach broni Jurek Wąsidło, zwany Jurą Wasidłowem w swoim Stanisławowie, zwanym lwano Frankowskim. Komputer podkreśla mite nazwy naczerwono i mam problem, czy je zignorować, poprawić czy dodać do komputerowego słownika poprawnej polszczyzny. No więc powracając do Jury, misja ta nie idzie mu tak sprawnie jak BB, bo nie dysponuje taką kasiorą, za którą mógłby właściwie bronić wszystkiego przed wszystkim. Słowo kasiora też jest obce mojemu komputerowi.

Jura buja się po bukowinach i jaworzynach, reglach i halach i liczy, że jakoś to będzie, bo las był jeszcze przed nami i może kiedyś po nas znów wyrośnie. Takie zawracanie kijem Prutu i Czeremoszu. Liczenie wilków jest nieromantyczne, bo opiera się głównie na poszlakach, gubionych po szlakach zaliczanych do wilczych. Po prostu resztki - drzazgi z kości, klaki, pierze, czy też nie lubiane przez ekologów owcze runo, a wszystko to pod postacią słowa tak mało literackiego, że pewno komputer go nie przyjmie. Należy mieć wilczą naturę, aby rozpoznać te ślady jako wilcze, w nieczytelnym dla mieszczaucha chaosie, jaki Bóg stworzył w pośpiechu sześciodniowego systemu tworzenia. Wymaga to węszenia, mierzwienia palcami, iskania i rozcierania każdej poszlaki na korzyść czy niekorzyść wilka. A gdy już taki liczykupa policzy wszystkie klejnoty i ciągle mu ich mało, żali się potem przed różnymi instytucjami, komisjami, komitetami i klubami a wymienione struktury, żyjące z odstrzału wilka, wykreślają z zapisu o ochronie środowiska słowo "odstrzał" i wprowadzają w jego miejsce hasło „kontrola równowagi”, znane wszystkim skrytostrzelcom zalegalizowanym, czyli myśliwym, którzy działają w związkach łowieckich, czyli „dokarmiają zwierzyne” aby ją potem łowić. A tu mój komputer nie ma problemów semantycznych.

Śmierć zwierząt roślinożernych, czyli jadalnych, powinna nadejść ze szczytu łańcucha pokarmowego, czyli z rąk pana stworzenia (nie mylić ze Stwórcą) a nie od wilczych zębów. Każdy wolałby zginąć od kulki niż zostać rozszarpany na nieestetyczne strzępy przez zgraję zębów. Kulka jest bardziej humanitarna niż zęby, lecz dzięki ekonomii pociski bywają niedoskonałe więc niejadalne i beużyteczne wilki umierają długo i w męczarniach. Ja wzorem mędrców wybieram śmierć od starości.

Bywa, że Wąsidło odwiedza Kraków i pospiskowawszy tu i tam w różnych klubach, zachodzi do mnie i moich wilczyc na kolację i śniadanie. Oddany czworonogom pozwala Zombie i Strzydze wyjmować sobie z ręki chleb (posmarowany masłem) i posprzątać talerz z kiełbasy.

Gdy opowiada o wilkach, w jego oczach zapala się światło. Nie jakieś tam błyski i gromy, żadne snopy iskry, ognie gniewu, fajerwerki zemsty czy ferie rozpacz. Tylko dwa beznamiętne a niepokojące światła, wpatrzone w wilczą przyszłość, nad stołem między szklankami i puszkami. Browca spożywamy

z aluminium, bo szkła nikt nie chce skupować a podrzucanie złomu poszukiwaczom metali, oby jak najwięcej, ocali miejskie linie tramwajowe przed rozkręceniem i będzie czym docierać do pracy - namawiam. Takie światła mają w oczach moje Psy na widok pustej miski i taką jawi się przyszłość karpackich czyścicieli, wygryzionych przez ludzi ze swego zajęcia, zwanego niszą.

Światła te gasną nad ranem, gdy zmęczeni wilczą niedolą rozchodzimy się do legowisk, gasimy oczy a za na-szymi powiekami płoną tylko szklanki i kufle, oblizywane przez światła uliczne. Pewnego zimowego poranka, a więc owiniętego jeszcze w granatowy szlafrok nocy musiałam budzić Wąsidłę, aby zdążył na autobus do siebie. W pokoju zajmowanym przez gościa było jasno od miejskich lamp, rozwieszonych między śniegiem a chmurami, więc nie budząc żarówek mogłam wyraźnie zobaczyć włochate łapska zakończone długimi manikiurami zrobionymi na czarno. Gdy dostrzegłam zwisający od koldry do podłogi ogon, pięknie zaopatrzony na zimę, najpierw policzyłam puszkę po spożytym napoju, potem sprawdziłam czy nie ma pełni Księżycyca, nie było, więc podziwiając puszystość ogona pomyślałam sobie, że zima jeszcze potrwa, co mnie nawet ucieszyło, jako narciarce.

No tak, zaciął się chłop w swoim dziele i ani nie zauważył, jak zdziczał. Albo wrócił do pierwotnej natury, ukrywanej przed tymi, co go znali, bo gdyby ktoś wiedział, że Wąsidło pod wpływem miejskich lamp zamienia się w wilka, to by mnie uprzedzono. Nie była to scena z kiczowatego horroru, tylko realny i namacalny ogon, tak realny, że nawet mniemnie zdziwił. Przywykłam do bogatej we wcielenia natury ludzkiej, także zasepionej czy raczej zawiłconej natury Wąsidły, ukrywającego się pod kwiciastą koldrą. I łaps! za ten ogon.

A gdy okazało się, że to nie cud transformacji lecz suka Zombie wtargnęła gościowi do łóżka na kanino- czy też homoterapię, żalowałam trochę, że to Wąsidło a nie wilczydło.

Na Festiwalu Nauki w Krakowie zapoznałam się z zasadami (i przepisami oczywiście) dotyczącymi dogoterapii. Moje przewrotne (subiektywne oczywiście) animozje podpowiedziały mi natychmiast słowo "prostyucja". Pies wyselekcjonowany do takich numerów musi przejść przez ogień szkolenia, które kiedyś bez żenady puszyło się pod hasłem "tresura". A tamten pierwotniejszy termin kojarzył mi się z takimi rekwiwitami jak bat, prąd i musztarda zamiast obiadu. Pies przeznaczony do przytulania i miętoszenia musi być odporny na ból. Pies przeznaczony do ludzkiej miłości na godziny musi tak samo znać swoje pieskie miejsce jak pies podwórkowy - precz od stołu, *paszoł* od gości, *won* za próg. Po-zostaje tajemnicą, gdzie podziewa się pies w ciasnych *villas miserias* z wielkiej płyty, któremu nie wolno zbliżyć się (!) do zestawu wypoczynkowego, kompletu biesiadnego i do ludzi.

A potem tak spreparowany materiał leży (w czasie numeru wolno mu leżeć) skulony w precel pod wieloręką, wielonożną (niektórzy nie mogą rękami), wielogębną zgrają i nie wolno mu uśmiechać się, aby nie pokazać użębienia, nie wolno liźnąć, wejść na kolana ani posikać się z radości, że obcuje z człowiekiem. Zero *emy*, zero *spontany*. Jak pani go wyszkoliła, pytam właścicielkę rasowego psa i samochodu (ładna sztuka, sama sobą mogłaby stawiać na nogi...) *Trzeba dużo biegać*, odpowiada.

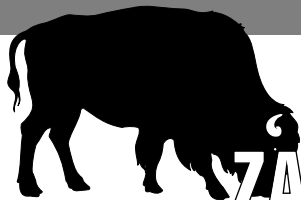
Po urzędach?

To jest chore.

Należy być optymistą i wierzyć, że modna obecnie dogoterapia jako idea poprawi los bezdomnych, maltretowanych psów beużytecznych. Przecież autystykowi wszystko jedno, czy pieści psa z rodowodem czy skazany na łańcuch inwentarz. Prostytucja to tak samo praca, czyli jakaś tam ochrona przed śmiercią głodową i dobrze jest, że tutaj człowiek pozbawia psa wyboru, bo pies na pewno wybrałby inny zestaw wymagań. ■

Gabi Szmielik-Mazur
PROSTA BABA SPOD KRAKOWA
15.5.2004

W następnym numerze:
Jak Wąsidłę na Bukowinie omal nie zeżarło.



Tomasz Lippoman

ZABIĆ ŻUBRA

Bładym, zimowym świtem los rzucił mnie w sam środek Puszczy Boreckiej. Las to szczególny i w całej rozciągłości zasługujący na swe puszczańskie imię. Krajobraz Puszczy obfituje w niewielkie jeziora, częściej penetrowane przez zwierzęta niż odwiedzane przez ludzi. Obszar ten zamieszkiwały niegdyś pruskie plemiona Galindów. W IV w. powstały tu pierwsze warowne grody. Kolonizacja postępowała jednak powoli. Teren jest to bowiem trudny i w wielu miejscach podmokły. Puszcza Borecka rozciąga się obecnie pomiędzy jeziorem Mamry a Wzgórzami Szeskimi na Pojezierzu Elckim. Czarne, sędziwe bory przeplatają się tu z dziedziną lasów liściastych i mieszanych, gdzie konary dębów, jesionów i grabów szczelnie oddzielają niebo od wypełnionego soczystymi owocami dna lasu. Boreckie knieje przemierzają, jak przed wiekami, wilki, rysie i borsuki, a także spore stado żubrów. Na brzegach rzek i jezior wciąż spotkać można silne watahy dzików buchtujące w poszukiwaniu pędraków, żołędzi i innych puszczańskich pożytków. Las tu głęboki, choć niezbyt rozległy. Można się w boreckiej dziedzinie nawet zagubić bo i dróg niewiele i osady w sporym znajdują się od siebie oddaleniu. Żubry czują się w Puszczy niemalże jak w domu.

Dzień był jak z bajki. Sędziwe świerki gięły się pod ciężarem śniegu. Dno lasu przykrywała puchowa kołderka, niemalże niezaznaczona śladem wędrującego zwierza. Słońce wydobywało z lodowych kryształów blask po tysiącokrotnie większy niż światło wszystkich zgromadzonych ludzkim wysiłkiem diamentów. Radość życia zdawała się po brzegi wypełniać wszystkie zakątki tej pięknej krainy. Brnąłem w śnieżnym puchu mozołnie, noga za nogą, po tropie jednego z kilku stad żubrów zamieszkujących ostępy Puszczy Boreckiej. Las nie skąpił uroków. Na skraju niewielkiej polanki natknąłem się na chmarę jeleni. Kilkaset metrów dalej zająłem w oczy sarny, by wkrótce przyglądać się grupie dzików buchtujących dno lasu w poszukiwaniu żołędzi. Mie-

BIEBRZA ZIMĄ

Biebrza to rzeka, prawy dopływ Narwi. Biebrza to jednak coś więcej, łatwiej to przeżyć niż opisać. Jak bowiem zamknąć w słowach pustkę torfowisk, nocne toki dubeltów, gulgotanie cietrzewi w szronie marcowego świtu? Jak namalować słowami wędrujące pod najszerszym podlaskim niebem łosie? Jak opisać ciszę niezmaconą żadnym obcym dźwiękiem? Jakie słowa oddadzą lekkość ruchu smukłej pychówki^{*)} zręcznie prowadzonej przez człowieka, który jest tu od zawsze jak kamień, jak zakole rzeki, jak brązowy bekas? Trudne to zadanie.

Najtrudniej jednak chyba opisać Biebrzę zimą. Jaka jest zima? Przeróżna bywa w swej zastygłej monotonii. Raz jak świeżo wykrochmalone prześcieradło rodu olbrzymów, a innym razem jak paleta malarza, co świat w odcieniu brązów, żółci i bieli postrzega. Gdy wiatry nadciągają z północy, Biebrza jest jak Bałtyk w sztormowy wieczór. Nie ma wtedy traw, nie ma drzew, bo wszystko znika, aby chmury stały się Biebrzą, a Biebrza chmurami.

Wiosna na Biebrzy to bogactwo ptasiego harmidru, niepokromiony festiwal żółtej barwy kaczeńców i jaskrów, latem coś jakby sawanna afrykańska, jesienią nostalgia za czymś, albo i za niczym, a zimą... właśnie zimą kraj to najmniej przystępny, najbardziej człowiekowi nieprzyjazny i dziki. Zimą biebrzańskie pustkowia najchętniej odślaniają swą

szane stada ptasiej drobnicy wypełniały zimową puszcę koncertem na dzwonki, werble i inne instrumenty, jakich człowiek jeszcze nie skomponował. Sielanka niemalże doskonała.

W koronach świerków, gnących się pod okapem śnieżnej okiści, uwijały się maleńkie mysikróliki wypełniając Puszcę delikatnym dzwonieniem. Wokół głęboki śnieg i ciżba, drzewa jakby zamarłe we śnie, zastygłe w bezruchu.

Zimową porą Puszcza Borecka jest podobna do księgi o czystych, białych kartach, w których zostaną wpisane najdrobniejsze nawet zdarzenia: oto nocą przebiegł jeleni, dzik, a w ślad za nimi podążał wilk. Leśny dukt przecięły cztery żubry, najpierw krowa, młody byk i dwoje cieląt. Jastrząb porwał sówkę, na śniegu obok kilku kropli krwi pozostały pióra z charakterystycznym niebieskim lusterkiem. Oto epizody, którymi zapisane zostały karty zimowego pamiętnika - księgi żywota Puszczy.

Na skraju Sarniego Wygonu ujrzałem pierwszego żubra, młody, może trzyletni byk, czochrął się o pień potężnego jesionu. Nieco dalej, za zastoną kępy świerków grupa żubrów z cielętami wygrzebywała żołędzie pod osłoną wiekowego dębu. Zamarłem w bezruchu podziwiając leśne olbrzymy z odległości kilkudziesięciu metrów. Z młodnika wyskoczyło stado jeleni: popatrzyły, posłuchały i pomaszewowały gęsiego ku rzece.

Powoli, krok za krokiem, wycofałem się, aby nie zakłócać spokoju prawowitych władców Puszczy - żubrów. Zanim przeciąłem pierwszą linię oddziałową, leśną ciszę brutalnie zmać ostry strzał sztucera. Po chwili las wypełnił się tętentem kilkudziesięciu kopyt. Spłoszone zwierzęta rzuciły się do ucieczki w stronę pobliskich bagien.

Na zrytym racicami śniegu leżał żubr. Wielki, prawdopodobnie ważący około 900 kg byk. Nad martwym zwierzem ludzie odprawiali przeróżne łowieckie rytuały. Ułamaną gałązkę świerka zamoczono w zastygającej krwi żubra, by szybko tężejącą na mrozie posoką posmarować zieloną kurtkę łowcy. Mały chłopczyk grał na rogu sygnał myśliwski "na żubra". Inni gratulowali zagranicznemu myśliwemu w kapelusiku z piórkiem celnego strzału. Tak to zgodnie z obowiązującym w Polsce prawem zabito prawnie chronione zwierzę znajdujące się w *Czerwonej Księdze Zwierząt*. ■

duszę, co jednak nie znaczy, że można ją dostrzec. Jest w niej posmak skórki dobrze wypieczonego chleba, jest zapach bez woni i pieśń bez dźwięku, jest poezja bez słów.

Zimą biebrzańskie błota zapełniają duchy, które nie dzwonią łańcuchami, nie zwodzą w topiel, duchy które są w tej krainie, bo nie mogą nigdzie indziej być. Jest także w mroźne noce pieśń wilka, co tylko głupiec będzie ją próbował opisać, jest szelest ponowy śnieżnej, co jak pałeczka Jankiela łąduje na lodowej warstewce śniegowych cymbałów. Jest zimą niekiedy ptak drapieżny, co szuka na pustkowiu innego stworzenia. A człowiek, czy człowiek jest też tam zimą? Nie ma go. Czasem jakiś zbłąkany wędrowiec, czasem miejscowy, co musiał od chaty swej odejść. Człowieka tam nie ma. Co człowiek mógłby robić w miejscu tak dzi kim? Patrzeć - na co? Słuchać - czego? Nawet łoś, najbardziej biebrzański mieszkaniec tego kraju, zimą chowa się w lasach olszowych, co okalają rzeczne moczary. Może więc wilk dziki? Jego tam też nie ma, lecz w niektóre noce jest tam pieśń wilka, pieśń, co w klatce słów naszych nigdy nie zamieszka. ■

Żonie

Tomasz Lippoman

Białystok, tel. 0-85/676 28 06

e-mail: tomasz@bialowieza.com.pl,

t@bialowieza.com.pl www.bialowieza.com.pl

*) Pychówka jest to wąska łódź rzeczna napędzana długim kijem lub wiosłem o wąskim piórze przez flisaka stojącego na rufie.